JAN LEMAŃSKI

BAJKI

WARSZAWA

NAKŁADEM JANA FISZERA

BAJKI

Odbito na papierze czerpanym
egzemplarzy numerowanych 10.

WARSZAWA, DRUK PIOTRA LASKAUERA i S-ki

JAN LEMAŃSKI

BAJKI

JAN FISZER WARSZAWA

MCMII

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Февраля 1902 г.

Szymona Deptuły

Pierwodruk.
Pierwsza książka autora.

MIRIAMOWI

Facit indignatio versum.

Juvenalis.



I.

PIES I WIEPRZ.

Psi jeno w walkach dusznych
Dręczą się i biedzą.

Wieprz pewien, najedzon,
Ryjem koryto podważył,
I chrząkając syto,
Do budy Burka szedł z wizytą:
Dla konkokcyi, rozmowa z sąsiadem
Ostrogą bywa.

Burek szperał w ogonie
I zębem kaźń czynił srogą nad owadem.

Wieprz się przysuwa.
—„Czołem, sąsiedzie!
Jakże się wiedzie?
„Coś wyglądasz smętnie?“
—„At“—ziewnął Burek—„weselem nie tętnię,
Boć nie dośpi się, nie doje...
Patrz stem oczu, choć masz dwoje,
Szczekaj, warcz, gryź, dniem i nocą...
Ot, wiadomo—służba pieska“.
—„Oui, oui“—Wieprz rzecze—
„A przytem snać lichą pieczę
Ma dziedzic o swoim słudze:
Chudyś jak gnojowa deska.“
—„Tam to pół biedy, gdyby nie zmartwienie.“
—„Umf, powiadasz“...
—„Tak, obito
Mnie niezasłużenie.“
—„Za cóż, proszę?“
—„Za co? Dziedzic ma zajadłość
Na Maćka kokosze,
Który mu je kiedyś tam podpuszczał w żyto.
Wczoraj w przypołudnie z łańcucha
Mnie spuszcza,
I wedle chaty Maćka idziem naumyślnie,
Gdzie grzebie kurza tłuszcza,

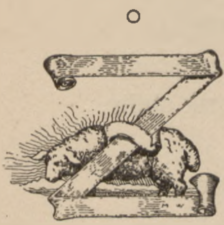
Bogu winna ducha.
Jak nie świśnie
Mi dziedzic, nie krzyknie: a huzia!
Co może buzia...
Przyznam ci się, mój Wieprze,
Że dotąd o dziedzicu miałem zdanie lepsze.
Że pierzasta hołota
Grypsnęła przez psotę
Jedno liche ziarnko —
Toż nie kryminał! Za czyn ten
Pozbawiać żywota
Jest to zbyt nierówną wypłacać się miarką.
Odmówiłem stanowczo. Pan mi sprawił mydło,
Skopsał mnie, poniewierał... Dlategom na kwintę
Nos spuścił, zmizerniałem i życie mi zbrzydło."

Wieprz słuchał, czochrając się o budę,
Jak to czynią wieprze,
Gdy im szczecina błotem zbyt się zeskorupi,
Mruknął wreszcie: — „Głupi —
Harda dusza w ciele chudem!"
— „Jakto?" — bryś odeprze —
„Zasady, sumienie"...
— „Ha, ha! na honor, jak pomyje cenię,
Wyborny!.. Bawisz mnie dobrodziej!

Przy mieniu, nie sumieniu
Chcą od ciebie warty.
Zasady przy obroży!.. Lecz na stronę żarty,
Powiem: czy pan zły, dobry, zemściwy czy złodziej —
Cóż mnie to obchodzi?
Spójrz na mnie: zaważę ze czterysta funtów
Dla czego? Bo drwię z tych zasad,
Z tych sumienia buntów.
Moja zasada jedyna:
Koryto przednie,
Moc pomyj, obierzyn i tłustych fecesów.
Treść, grunt — słonina,
A reszta — brednie.
I radzęć szczerze"...
Tu Burek rozsrożony zaszczękał łańcuchem.
— „A idź do stu biesów,
Ty plugawe zwierzę,
Ty ryjcu, kłapouchy! Patrzcie kiełbaśnika!" —
I łaps go za ucho.

Wieprz, widząc że krucho,
Z wystrzępionem uchem,
Duchem
Pomyka
Do chlewika.

OWCA MĄDRA.



Że owca—zwierzę głupie, to pogląd zwy-
[czajny.
Nie chcę być przeciwnego zdania adwo-
[katem,
Lecz nie idzie za tem,
Bym w czambuł postponował ten ród wełnodajny.

Istotnie. We wsi (nie pomnę już miana)
Stado owiec hodował pan dziedzic (to bywa)
A w stadzie była jedna, chociaż młodociana,
Przecież, wiedzy chciwa,
Umiała niecodzienne z zjawisk ciągnąć wnioski,
I przystrajać zdania
W uczone słowa,
Że niech się schowa,
Płeć barania,
To też gmin ją nazywał ósmym cudem wioski.

Raz na ugorze,
Gdy pospólstwo brzuch darnią opycha jak może,
Nasza mądrala do pasterza zmierza i rzecze.
— „Pozwolicie, że w wasze indywiduum człecze
Myśl moja wciecze,
Czyli mówiąc prościej,
Że się z waszym mój zetknie duch osobowości;
Albo jeszcze inaczej ale najwyraźniej —
Otwórzcie dla mej duszy bramę waszej jaźni.
Fenomenów psychicznych zbiór mam tak obfity,
Myślę tak wiele,
Że muszę porozmawiać, ile że w rozmowie
Tworzą się jakieś dziwne emanacyo-byty —
Że się tak wysłowię“. —

— „Won, bo zdzielę!“ —
Rzekł owczarz i spojrzał na batog,
Leżący w trawie
Jak jaka żmija.
(Prostak, filozoficznych nie nawykły patok,
Myślący niemrawie,
Zamiast rozumować, bija).

Nie w smak poszło mądrali,
Owczarskie rozumowanie,
Lecz nie ucieka
I rzecz ciągnie dalej.
— „Ach“ — mówi, — „jak to przykro! Miałam was za człeka
Dobrego jak nasz dziedzic! W jakiej on poszanie
Ma nas owce!
Jak się obchodzi z nami
Humanitarnie,
Z wołami orać nie każe, wygodami
Otacza, wielkie nam stawia owczarnie,
Od wilków strzeże,
Runo pierze...
Słowem, jeżeli poddam to rozwadze,
Nie chybię, gdy wyprowadzę
Wniosek, że to altruista.
No bo proszę, tyle trudu ponieść koło owiec

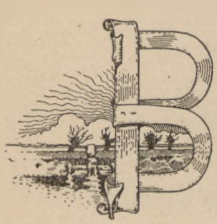
Czyż nie dosyć czułości? sam powiedz.

Tu oczywista,
Już się rozzłości
Owczarz i owcę ofuknie:
— „Won kołowata!
W ostatku się dowiedz,
Że cię hodujem, bo dajesz nam suknie“. —

Rzekł, strzelił z bata,
Śmignął biedną po kłakach
I poszczuł ją Burkiem.

Rada-nierada
Polazła do stada
Łzy lejąc ciurkiem.

GROBLA.



By uchronić swe grunta od zalewu fali,
Włościanie Lichoradza groblę zbudowali.
Nazwozili kamieni, chrustu, ziemi, gliny,
Ubili wał, poszyli, nasiali wikliny,
Wierzb nasadzili, i cieszą się chłopi,
Że ich staw nie zatopi.
Próżno woda się pieni,
Że tyle kamieni
Ma na dnie koryta:
Musi stać i kwita.

Jako chłop babę ściska,
Gdy powrócą z karczmiska,
A co przystoi chamom,
Tak się ściska staw z tamą.

Mknie czas, jak pies za kotem.
Szumią wierzby nad tamą,
Wikliny rosną bujnie,
Osty, głóg stoi płotem.
Cóż potem?
Tama trwała, póki żyli
Co ją bili.
Dzieła przodków nie umie ocenić ród nowy.
Wnuk Maćka w rozprawie chłopsko-honorowej
Przetrącił kłonicę
O wnuka Kuby ramię,
A iżby szkodą sfrasowane lice
Rozchmurzyć, bieży ściąć nową na tamie;
Wnuk Grzeli nie ma liter, w te pędy na tamę;
Wicek (wnuk) rąbie na niej budulec na bramę
(Brama niezbędna w porządnej zagrodzie
Jak zrąb u studni);
Stawia komin wnuk Gajdy i też tamę bodzie,
Bo w tamie darmo glina a kupić ją trudniej.

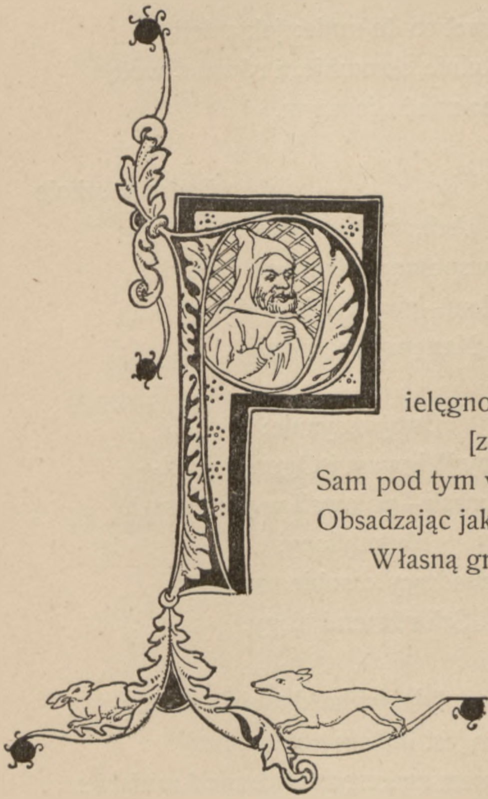
Jak tu nie wziąć, gdy coś blizko —
Myśli sobie wnuk Rocha.
Słowem, czy po kosisko,
Czy po hołoblę,
Czy po wiele, czy po trocha —
Wszyscy na groblę.

Mozolne budowanie, ale snadne psucie.
Przetarli chłopi tamę, niby wiecheć w bucie.
Widząc taką gospodarkę,
Pomrukiwał staw czasem, jak Miś, gdy łup wietrzy.
Krótko mówiąc, nie przeszło lat dziesiątków ze trzy,
Znalazłszy w tamie tu i owdzie szparkę,
Wciskał w nią staw rozjarzmiony
Strumienie, jak lis pazury
Wtyka
Między przęsła kurnika.

Wiosna! wiosna! — odrodzenie, choć nieraz i zguba.
Pękła lodów łuska gruba.
Z chlupotem zgiełcznym rzeczki, rowy leją męty
W rzek gardziele. Staw zaryczał wzdęty.

Zerwał się wicher: z krą, iłem i pianą.
Pędzi falę wezbraną.
Wściekła fala kruszy, łamie...
Już po tamie! już po tamie!

Staw wziął co swoje: bramy litry i kłonice,
Nadto zalał okolicę.



Pielęgnować ideały każdy
[z nas bliźniemu radzi,
Sam pod tym względem
Obsadzając jaknajrzadzej
Własną grzędę.

Kochamy prawdę — w innych; lubimy, jeżeli
Bliźni ufność ku nam żywi,
Ale wyprowadzać w pole
Ufnych — samiśmy łapczywi.

Nawet co do mnie: jak anieli
Żyję, potulnie, skromnie, a również wolę
Do czynienia mieć z lepszym.

Będąc w szkole
(Ach, jakże mi łzawo,
Gdy wspomnę o tamtych czasach),
Czytałem — oczywiście pod ławą —
Następujące podanie.

Dwaj Indyanie:
Łatany Wigwam i Ogon Szakali —
Tak się zwali — polowali w pampasach
Na antylopy,
I niewiedzący o sobie nawzajem
Szli różnemi tropy.

Ze skóry antylopiej każdy miał ubranie,
Co jest Indyan obyczajem,
Żeby w czujnem zwierzęciu wzbudzić zaufanie.

Płochliwa antylopa, widząc kształt kamraci,
Zbliża się, nieświadoma zdrad — i życie traci.

Tu przerywam bajki nitkę,
Nadmieniając, jak jest brzydkie
Podobne wyzyskiwanie stworzeń, których
Jedyną obroną — hyżość nożna.
Tak nie można!
Ja za to ganię czerwonoskórych, —
To jest, ganiłem (wtedy) — i cieszyło mnie wielce,
Że słono zapłacili za to, wisielce.

Bo gdy po jednym pełzli obaj tropie
Z dwóch krańców przeciwległych, a przeto
Jeden drugiemu był jakoby metą,
Naraz ujrzeli własne larwy antylopie
Wyzierające z trawy.

W każdym serce pika
Z wesela. Każdy ma mniemanie,
Że do smakołyka
Wycela strzał jadowity —
Aliści sobie zadają po ranie.

I wyśmienitej nie jadłszy pieczeni,
Sami byli zjedzeni
Przez termity.

WILK I CIELĘ.

Jeśli Cielę zapragnie nadwyrężyć szyi,
Nie w mocy niczyjej
Powstrzymać je w tem szyjołomnem przedsię-
[wzięciu,

Było sobie raz Cielę, gdyby starsze troszka,
Rzec by można — jałoszka,
Której, czyli któremu zdało się Cielęciu,
Że opinia obory niesłusznie spotwarza
Wilka, i że jego zbrodniczość — ot, plotka owczarza
Lub pastucha, który, jeżeli nie drzemie,
Wymyśla jakieś bajdy. Przecie stoi w Brehmie,
Jak wół, że Wilk lubi cielęta;

Czemu tedy nim straszą
Krowy młodzież cielęcą? — rzecz niepojęta.
To pytanie Cielę długo razem z paszą
Gryzło, aż postanawia: w las pójdzie, zaczepi
Wilka, będzie z nim szczere, uległe i grzeczne,
I o wszystkiem przekona się samo najlepiej.
Napróżno mu przekładał uczenie druh, Wolec,
Że na samej ufności z Wilkiem trudno polec,
Że o tem swiadczą dziejów przykłady odwieczne;
Przytaczał los jagnięcia z bajki Ezopowej, —
Daremnie, a im bardziej logicznemi słowy
Chciał wświdrować rdzeń prawdy do cielęcej głowy,
Tem więcej
Twardział upór cielęcy.

Pewnego dnia, gdy bydło pasło się pod lasem,
Cielę zbacza w zarośla, by gdzie zdybać Wilka.
Weszło wgłąb staj kilka
I czeka.
Las był cichy. Przylatywał czasem
Wiatr gorący z pastwiska, i w cielęce uszy
Wrzucał krów ryk daleki albo krzyk pastuszy;
Sosen igły poruszał, muskał wrzos, paprocie
I do nozdrzy Cielęcia pchał ich woń w przelocie;
Aż, omdlały, ostatnie rozkładał dmuchania

Na mchy, jak pies zziajany, gdy stado pozgania.
Stoi Cielę i myśli: czy podobna, żeby
Wilk tej natury pięknej nie odczuł działania,
Krzywdząc słabe stworzenia zgoła bez potrzeby?
Żeby ten las milutki,
Te krzewy i kwiatuszki, rosnące we wrzosie,
Nie natchnęły go, owszem, chęcią do kochania?...
Tu rozbeczało się.

Cielęce beczenia rzewne szły w ostępy
I wywarły niebawem upragnione skutki.
Zachrobotał po chruście jakiś chód cichutki,
I z poza gęstej jałowcowej kępy
Wilczysko się wysunie tuż i w Cielę wlepi
Dwoje zamglonych, pożądliwych ślepi.
Cielę pamięta,
Co każe etykieta i formy światowe:
Z wdziękiem tedy nachyla łeb, spuszcza oczęta,
I czeka przedstawienia, by zacząć rozmowę.

Czy, że Wilk miał znużone kły sytym obiadem;
Czy mu łup zdał się łatwym, czyli też człowiecze
Podejrzewał knowania albo pieską zdradę,
Dość, że, jak na wilcze plemię,

Najprzystojniej rzecze:
— „Wilk jestem“.
— „A ja Cielę“.
— „Bardzo mi przyjemnie.
Gdzież mieszkasz?“
— „W dworskim cielętniku“.—
— „Proszę... to tam za tem wzgórzem?
Znam, znam... Tamtejszą owczarnię jużem
Raz chciał odwiedzić, lecz nie lubię krzyku
I wrzawy sielskiej... Widzę, jesteś gładkie...
Bardzo, bardzo mi miło... Ta niewinność oczek
Mówi mi, żeś młodziutkie jeszcze,—któryż roczek?“ —
— „Tej wiosny, proszę Wilka, ssać przestałom matkę“.—
— „No, no!.. I tak samopas chodzisz, zdala od mamusi?“
— „Tak“.
— „Hm, bory zdradne!..
Niech mnie ogar zdusi,
Jeżeli nie zgadnę,
Że piękną masz duszyczkę, kochającą, szczerą...
A jak beczysz prześlicznie!“
— „Tak, właśnie się uczę“.—
— „Ucz się, ucz,—toż to dopiero
Poruszać bydło bekiem przyjemnie być musi!
Do niejednego serca bek może być kluczem!
Czuję, że cię polubię... Ładne masz pośladki“ —

Tu głasnął Cielę łapą Wilk-Iskaryota.

Ach, jak słodką, miłą
Wydała się Cielęciu ta pierwsza pieszczota!
Nawet liźnięcie ukochanej matki
Nie sprawiło mu nigdy rozkoszy do tyla.

Wszelako niewiadomo, coby nastąpiło,
Gdyby zdala nie ryknął Wolec, trwogą zdjęty,
I kundlów ujadanie nie rosło co chwila,
A którym Wilk roztropny wnet pokazał pięty.

Wróciło Cielę
Z weselem w duszy tudzież z jakimś smętkiem
I drżeniem serca niepowszedniem, prędkiem,
W tkliwą zadumę twarz chowając, milczy
Nieutulone po pieszczocie wilczej.

Próżno mu Wolec przekładał uczenie,
Że kochać Wilka jest to — ogłupienie,
Rzecz wręcz szkodliwa dla dobra obory,
Że Wilk, jak każde mięsolubne zwierzę,

Duszy nie łaknąc, ciało na wieczerzę
Zjada lub obiad, stosownie do pory.

Ale darmo Wolec
Wtykał w cielęcy szał za kolcem kolec.
Cielę milczało, nareszcie powiada:
—„Ot pójdę, na złość“.
—„Ha, trudna rada“—
Pomyślał Wolec i zwiesił ogon.

Poszło w las Cielę z ufnością błogą
Nazajutrz rankiem. Więc naprzód drogą
Szło po brzuch w rosie; mgły pozłacanej,
Strzępy wpełzały na płot chruściany,
Gdy je cielęcy tułów rozkrawał.
Płaczące wierzby omglonym czubem
Żegnały Cielę, które szło gdzieżby,
Jak nie na zgubę—
W las... A gdy weszło weń spory kawał,
Oznajmiło się Wilkowi bekiem.

W ukryciu czuwał gdzieś niedalekiem
Wilk, a ponieważ
Nic nie miał w zębach od godzin pięciu,—

Rad był Cielęciu.

— „A!“ — rzekł — „Cielę, jak się miewasz?“
— „Dziękuję“.
— „Cóż tam?“
— „Nic, tak... w te strony
Wyszłom... czas, jak wyśniony,
Prześliczny...“
— „Przedziwny...
Ale, ale — niech mnie zdziobią wrony,
Jeżelim nie powinien skazać cię na grzywny:
Tak mi raptownie zemknąć!..“
— „Właśniem po to,
By zyskać przebaczenie...
To ten ciołek obrzydły... ach, gdyby Wilk wiedział“...

— „Wiemy, znamy,

Co niechętni nam plotą,
W jakiej mają nas cenie
Pasterze, ciołki, psy i inne chamy:
Lecz kto wierzy ciołkom,
Albo pastuchom? Ty wiesz, kim jestem“... —

To mówiąc, schwytał Cielę za gardziołko,

Zarżnął, zjadł, rude z krwi oblizał kłaki
I poczłapał w krzaki
Na sjestę.

. . . .

Dla was ta bajka pisana, cielęta,
Które aż dotąd oszczędził ząb wilczy:
Co ma zaś czynić dusza zarżnięta —
O tem się milczy.

KOT I MYSZ SZTUCZNA.

Płacz koci — rzecz tak dawno w wątpliwość [podana,
Żem się wielce ucieszył, gdy poznałem Kota,
Płaczącego jak fontanna.

I nie dziwota.
Płakał na urządzenie współczesnej kultury,
Która dawnych śpiżarni zamknęła alkierze,
W podłogach załatała romantyczne dziury,

I tem dała prztyczka
Mysim upodobaniom plenić się w kwaterze.
— „Ach!“ — płakał — „żyję, ale mdli mnie już od mleczka,
Dość mnie panna Helena niem codzień napawa!“

Tak płacząc, nagle ujrzy — sen li to czy jawa? —
Mysz... Tak, to ona, w całej mysiej krasie
Przycupnęła na dywanie.
Kot skupia się
Do skoku — hyc! — „Tuś mi, kochanie,
Pieszczotko!..“ Ale cóż to za jakoweś dziwy?
Mysz ani drgnie, podobna śpiącej lub nieżywej.
Kot ją łapką. Podbita na odległość pewną,
Mysz sunie, i znów, martwa, leży mu jak drewno.
Ponownie dał Kot susa ku onej maszynie,
Zębem w złości ją drasnął, i nic — krew nie płynie,
I nie masz upragnionej igraszki pazurom.

Tu jęknął jeszcze srożej: — „O, podła kulturo,
Co mądre, lecz bez czucia, płodzisz automaty,
Niech cie!.. O, czemuż nie żyję przed laty,
Kiedy siedzibą Kotom były stare śpichrze,
Gdzie ściany i podłogi może były lichsze
Niż dziś, lecz słodsze z myszami swawole...
O śmierci, weź to życie, które jest mi bolem!“

SAMOLUB.

Umierał raz samolub,
Z ócz łzy mu się lały...
— „Ach!“ — jęknął —
„Czemu ze mną
Nie umrze świat cały!“

FILOZOF I PANNY.

Ze dwa razy dwa — cztery,
Panienkom raz tłumaczył
Filozof podżyły.
Panienki przeczyły.

Rzekł ktoś, co z boku słuchał dysputy zawiłej:
— „Nie przekonasz kobiety,
Kiedyś jej niemiły.“

MYSZ OKRĘTOWA.

Burząc fal przeguby,
Do Amsterdamu z Kuby,
Płynął okręt.

Mysz, podróżniczka,
Pipipinka mała, gryząc migdał z pierniczka,
Tak sobie myślała:

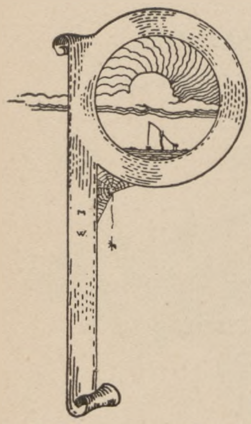
Rodzice — ba, dziadkowie — naopowiadali,
Że w okręcie na fali
Jest się, jak w pułapce.
Wierz tu ojcu, matce, babce!
Oj ci starzy!.. Czyż swobodę tracę,

Gdy, gdzie zechcę, żeruję:
Czy w worku, czy w pace.
Odwiedzam również kuchnie,
Gdy noc światła zdmuchnie
I uśpi załogę,
A nawet na pokładzie wtedy hulać mogę,
Słowem, jaki zapragnę, taki łapkom ster dam...

Tak myśląc — myk na pokład, —
Wtem strwoży ją gruby
Głos majtka z tuby:
— Hola! Amsterdam!

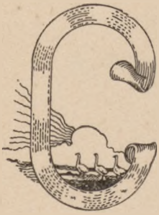
Masz-ci, myszko, swą wolę, lecz, w onej zakresie,
Zawsze tam tylko dążysz, gdzie okręt cię niesie.

DZWON.



Pysznił się dzwon, że głośny
Aż w dziesiątem siole
„Dzwonisz wtedy“ — rzekł dzwonnik, —
„Kiedy ja pozwolę.“

GĘŚ TUCZONA.

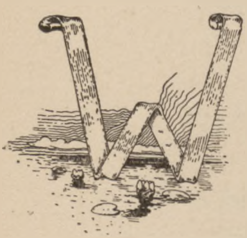


Chcąc pani Gęś utuczyć, wmówiła w to zwierzę,
Iż jedząc wiele, wdzięków łabędzich nabierze.
Przyszłość taka
Uśmiechnęła się duszy ambitnego ptaka.
Nuż chłonąć poślad pszenny oraz inne wety
Gęsie, ile zmieści grdyka.
Ale cóż wynika?

Po miesiącu fety,
Gdy, otyła, na staw ruszy,
Utkła w drodze z wielkiej tuszy.
Tam ją zcapi dobrodziejka
I powlecze na półgęski.

A tak żywota Gęsi skończyły się dzieje.
Zaprawdę, najtuczniejsza gęś nie złabędzieje;
Owszem, im sutsza w schaby, tem pewniejsza klęski.

LILIA WODNA.



Wśród zielonych wód obszarów,
Przytwierdzona w ile do dna,
Rosła w stawie Lilia wodna,
Urodzona z Nenufarów.

Wkoło — bracia jej, grążele,
I roślęży gąszcz splątana;
Falmi była kołysana:
Tak wzrastało ono ziele.

Szczupak nieraz, wiecznie głodny,
Gwoli jadłu albo karze,
Polujący na jazgarze,
Dotknął pletwą Lilii wodnej;

Lin, ospaluch utuczony,
Z iłu wyjrzał i, nierącze
Ruchy czyniąc, pchnął jej kłącze
Słabe, chwiejne, bez obrony.

Spoglądała na te ryby
Pełna trwogi i tęsknoty,
Rosnąc w górę, gdzie ją złoty
Blask przynęcał wodnej szyby.

2. Aż w majowe młode rano,
Pąk liliowy z ciemnej toni
Na powierzchnię się wyłoni
Nową, jasną, niespodzianą.

Niebo jarzy się ogniście,
Stoi trzcin młodzieńczych rzesza

Wkoło, Maj szelesty wiesza
Na ich wiotkie czułe liście.

Stworzeń pełno tu, bez liku,
Dziwnych, ale jedno zwłaszcza
Lilii sobie wzrok przywłaszcza:
Był to Pływak (patrz w słowniku).

Oto zarys jego bytu:
Tnie na lustrze wód zygzaki
W dzień, a nocą w tataraki
Wlazłszy, drzemie tam do świtu.

Tego pyta najpierw z osób,
Grasujących z wierzchu toni:
Co to w górze tak się płoni?
Rzecze Pływak jej w ten sposób.

— „Tam, uważasz, rośnie słońce —
Taki kwiat, co promieniście
Zwiesza ku nam złote liście,
Których w wodzie macza końce.

Skaczę nieraz tak wysoko,
Że się blizko znam z tym kwiatem,

Choć niektórzy wróżą stratę,
Gdy nań patrzeć oko w oko.

Wie się, wie się to i owo,
Z wiedzy w całym stawie słynę,
Ot, uważasz, w tamtę trzcinę,
Nie celując, trafię głową.“

3. Lśniąca w tym słonecznym świecie,
Barw mieniących się igraszka —
Brylantowo-skrzydła Ważka
Rozkochała się w jej kwiecie.

I w niebieskość aksamitną
Wabi Lilię: — „Patrz, muślinem
Owinięta, w górę płynę...
Pachną łąki, miedze kwitną“...

— „Ach, dlaczegom nie skrzydlata?“ —
Biada Lilia. — „Wzlecieć pragnę...
Czemu, czemu mnie z tem bagnem
Nieżyczliwa dola splata?“

Kres położę twoim smutkom“ —
Rzecze Pływak. — „My, pływaki,
Wiemy, gdzie zimują raki“ —
Rzekł i znikł na chwilę krótką.

Poczem wrócił, wiodąc Raka
Z długim wąsem, parą kleszczy —
— „Dobry gad, choć kształt złowieszczy,“ —
Mówi — „taka rzecz i taka.“

Rak wysłuchał. — „Poradzimy,
Owszem, na to z chęcią miłą...“
I kleszczami, niby piłą,
Przerżnął Lilii pień rodzimy.

4. Wolna! wolna!.. W przestwór wielki
Płynąć, lecieć z biegiem fali,
Tam najlepiej, gdzie najdalej
Od łodygi rodzicielki!..

Rada, że ją prądy niosą,
Płynie Lilia, niby tratwa.

Dobrze, lecz się sprawa gmatwa,
Gdy chce frunąć ku niebiosom.

Leci Ważka-przyjaciółka
I zaprasza ją w powietrze...
Ach, daremnie — coraz bledsze
Lica Lilii: na nic spółka.

Coraz dalej rwie ją fala,
Burt ją czasem trąci łodzi,
Nieraz wiosło ją ugodzi,
Biały liść jej łamie, kala.

Ni spoczynku, ni przystani
Niemający, kwiat tułaczy
Rychło, rychło zwiądł z rozpaczy.
Tak to bywa, proszę pani.

II.

LIS I GĘS.

Słomka, położona
Między dwa bierwiona,
Uleży, gdy są wilgłe, ale pono
Kruchy jej byt, gdy bierwiona płoną.

Komu nazbyt mistycznem zda się to twierdzenie,
Temu nadmienię,
Że słomka — przyjaźń, a bierwiona —
On *i* Ona.

Gęś, młoda entuzyastka,
Nieco dzika,
Świeżo z gniazdka
W świat wprowadzona;
Lis, przechera, poniekąd i kawał szkodnika:
A przecie, co powiecie, moje panie? —
Najtkliwsze z sobą zawarli przymierze.

O życiu gęgała Gęś idealnem,
O wadach swych dziedzicznych
Lis jej szczekał szczerze,
Płakał na łonie jej nieprzemakalnem:
Słowem, lisi skowyt i gęsie gęganie
Były wzorem harmonii.
Nawet kury z uznaniem gdakały o Lisie.

Lecz ach! cóż jest trwałego?..

W południe, na błoni,
Zwanej „Gęsie Błotko,“
Bawili się
Lis przy Gęsi, Gęś przy Lisie
Rozmową przyjacielską.
Lis mówił: — „O, jakże jest słodko,
Znaleźć serce siostrzane! Od chwili, gdy atłas
Twego puchu mnie olśnił, nie nęci mnie brat-las,

Łowy mi zbrzydły, i wiesz co? —
Od dziś żyję rzodkwią" —

— „Ach tak, życie takie piękne,
Tyś dobry, ja wiem"...
— „Nie, nie!.. O, tkwią
We mnie zarodki złego, ale niechaj pęknę,
Jeżeli nie będę z czasem gęsiom równy." —

— „Ja ci wierzę... Jakiś ty wymowny,
Jaki inny,
Niż obraz twój, kreślony mi w dobie dziecinnej,
Gdym, rzuciwszy jaje,
Rozpoznawać zaczęła gęsińca zwyczaje." —

— „Mm, tak...
Jednak, wyznać trzeba,
Że gleba
Tu niezbyt sucha. Źle wpływa wilgoć na zdrowie.
Tam przejdźmy..."

— „Ach, chętnie! Papa gąsior miał przysłowie:
Z druhem
Dobrze i na lądzie suchym."
I przeszli.
Lis był naczczo.
Połuchem

Słuchał Gęsi, patrząc na jej tułów
Okrągły; nozdrza rozdął, bo czuł ów
Zapach, jakim gęś tchnie podniecona.
Rzekł w końcu, jak Ofelii ów Hamlet w Szekspirze:

— „Pozwól mi na swem łonie spocząć, luba siostro.

Jakoż położył swą mordkę ostrą
Na gęsi pierze.
Ta, wzruszona,
Przyskrzydla go do łona,
I aby swoją ufność mu okazać snadnie,
Z pieszczotą mu swą szyjkę między zęby kładnie.
Lis drgnął, spłonąwszy, jak mina prochowa,
Ściął zęby, i gęsia głowa
Odpadła od gardzieli...

Struga krwi, jak alkiermas, wykwitła na błoni,
I drżała Gęś bezgłowa w przedśmiertnej agonii.
Pasące się w oddali, przyjaciółki ściętej
Rozpierzchły się, wydając gęgliwe lamenty.
Krople krwi, jak korale, kapią z brody Lisa,
Co widząc, źdźbło kostrzewy trwożnie się kołysa,
I niezabudki kwiat niewinnookiej
Zgroza trzęsie,

Gdy Lis chrupie przyjacielskie zwłoki
Gęsie.

— „Stało się“ — Lis pomyślał.
Zaczem, z mokrą rzęsą
Pojrzał w niebo i zawył:
— „O, przyrodo, matko!
Czemu każesz jeść mięso,
Gdyśmy duchem głodni?
Czemu nas szlakiem cnoty
Prowadzisz do zbrodni?
Ha! krwawą zagadką
Byt nasz!..
Oto w lat rozkwicie
Była Gęś... Dziś co z niej?
Dziób, skrzydła, piór parę z ogona...
Reszta — zjedzona!

O, życie! życie!..“

AMOR I PSYCHE.

Kochanie się odmienno-gatunkowych
Stworzeń — zgoła nie osobliwość.
Którego obyczaju korzeń
W zamierzchłej tkwi starożytności.
Jeżeli wiarę mamy dać rapsodom,
Był on jakoby na Olimpie modą. Wiemy,
Że już nań Juno się złości,
Odkąd Piorunowładny, z ujmą jowiszątek,
Onego obyczaju dał zdrożny początek,
Odkąd dla Europy
Na racice zamienił swoje boskie stopy,
I od kiedy
Lot do Ledy
Zniżył w łabędzim kadłubie.

Po onej wiekopomnej próbie
Przedrzeźnia ją skutecznie i ziemskie ściernisko:
Nie jeden pasterz grucha z kozą,
Nie jeden Kaligula wielbi wyścigowce
Nie jeden... Ale dosyć. Prowadzić nie lubię
Skromnych na manowce.



Nie daleko ztąd i nie blizko
Żył Pies. Kochał Owcę,
I była mu jedyną obradą
Miłosną. Zwał się Amor, a ona
Psyche.
(Na psy liche dziś zeszły
Mityczne imiona).

O nim tu powiem
Wam, rożano-jagnięcym, długorunym stadom
I wam, nocy kochankom, psom, którym tęsknica
Z czujnych wydziera gardeł wycie do księżyca
W noc bladą.
Ach, przejdzie was mrowie,
Gdy poznacie kres pieskiej doli nieboraczej.

Dla psa-owczarka, co z losów, a raczej
Z pasterza woli, w kontemplacyi żywot pędzi,
Od patrzenia do kochania i pół-piędzi
Nie masz. Z urzędu naprzód, potem z miłej chęci
Pies ujada na Owcę, gdy ta w szkodę skręci.
Karząc narów ten, częstokrotnie, acz leciutko,
Skubnie Owcę już w udko
Już w ogona okolicę.
Zdaniem biegłych w erotyce—
Dotykanie użyźnia sentymentu glebę:
Rychło więc dojrzał afekt pod onych kar niebem.

A kiedy mgły ciche pobieli
Miesiączek, i daleczko
Młyn jeno gwarzy dziad-kum
Z kumą-rzeczką,—
Już za owczarnią
Wyje Pies, żądzy folgując męczarniom.

Jak kokosz skrzekorze wieś.
Chór bab przy kądzieli
Bąka niespokojnie
O pożarach, o morze, o głodzie i wojnie,
Nie wiedząc, że to miłość przez Psa wyje nocą,—

Miłość, której zarzewie snać i w dzień nie blednie,
Bo oto jak wynurzał Pies przed Owcą we dnie
Ono uczucie.

—„Giez kąsa mnie w goleń, muchy w nos łaskocą!..
Niech tam! Tnij, owadzie plemię!
O, gorzej nad ślepnia ukłucie
I gorzej nad bąka ucięcie
Coś tu kąsa i tnie mnie—
Miłuję cię"...

Nie zawsze i nie wszędzie
Wydajnem czyni źniwo miłosne orędzie,
Zwłaszcza, jeśli kochanek, lubo czując pięknie,
Szczeka od rzeczy.

Jakoż Owca odbeknie:
—„Ja tego nie rozumiem, to mą skromność kaleczy.
Proszę Psa odejść sobie."—
—„Ach, ach, ach,"—Pies jęknie—
„Siedzisz mi w sercu, jak rzypień w ogonie,
Lecz pójdę, pójdę...
Psu na budę...
Się nie zda to"—rzekł i poszedł, a broda mu drgała.

Zaś Owca myśli sobie: w takim wiatrogonie
Się kochać, tożbym się wybrała,
Nie wiem którędy!
Mizerne to, chude, żebrami świeci...
I śmie taki miłosne okazywać względy
Mnie, kochance barana z rasy rambuljeciej!
Że mu dam się uszczypnąć za wełnę, za białą,
Że mu z żartów pokażę koniuszczek języka—
Już mu się ubrdało...
Nie, to zuchwalstwo ukarzę najlepiej,
Mówiąc, co o nim myślę, gdy znów się przyczepi.

I z taką obrażonej godności
Uchwałą
Owca, w ten dzień pamiętny,
Zeszła z pastewnika.

Od której daty
W Psie melancholii osiadła Chimera:
Mało żera,
Motylów nie goni
Na łące, pokłada się w kwiaty
I myśli o *Niej*.

Był dzień, gdy płonie błoń kolorowa
Ogniem złocieni, jaskrów i stokroci, —
Dzień, gdy schnie badyl, gdy owczarz się poci
I pod pilśniowy cień czoło chowa.
Snać ugrzanej rzeczułki bełkotanie ciche
I dalekich grań nuta, kędyś w borze mrąca
Psią boleść zaogniły, — szedł bowiem ku Psyche,
Która w cieniu łopianów drzemała z gorąca.

— „O czem?“ —
— „Tak sobie.“ —
— „Parno.“ —
— „Że nie można parniej.“ —
— „Ach, jak ci w białem runie ślicznie tu na darni.“

— „Komplementy mi Pies prawi,
Ja nie chę, ja powiem mamie"...

— „O, rzuć te pogróżki!..
Ach, gdybyś łaskawiej
Uszek nagięła ku mnie, ja bym ci tak przez całe życie
Mruczał, z miłością jednaką,
Jako tej strużki
Ano na łące
Fale, mruczące
Tatarakom
I w nocy i o świcie.
Gdzie ten baran, który by cię miłował
Jak ja?.. Słuchaj.

Gdy z zachodu słonkiem
Zejdziemy z pola, gdy owczarni wrota
Zaskrzypią na noc za twoim ogonkiem;
Gdy jeno w nie puka moja tęsknota:
Ach, wtedy niemasz biedniejszego zwierza
Nademnie!
Brzydnie mi barłóg, nie pachnie wieczerza...
Idę do chaty za butem owczarza.
O, nie jedna suka w drodze mnie zaczepi
I czułem obdarza

Liźnięciem. Warknę, skrami ślepi
Ją sparzę i dalej się wlokę...
Cóż mi psi naród przed twoim urokiem?..

Powiedz, czy moje skomlenie
Ci miłe?" —

— „O, wcale, wcale nie doznaję nudy,
Ale... Ja Psa bardzo cenię...
Nie wiem, czy mówić przystoi —
Owce by się naśmiały z miłości mojej:
Jesteś za chudy
Dla mnie, niebogi,
Masz pazur zamiast kopyta,
Zresztą, mąż dobry winien mieć rogi,
Jak mówi mama, niech Pies mamy spyta."

Tej się myśli Pies chwyta,
Jako ocalenia deski,
I cwałuje ku mamie.
Widząc mama cwał pieski —
Dalej w nogi. Pies za nią.
— „Stój-że, do szerszenia!

Stój, powiedz, zali gorsze od baranów psy są?"
—„Nie, nie, bez wątpienia...
Pozwól, niechaj odetchnę...
No tak, twoim rysom
Nic nie mogę zarzucić, prócz chyba wzburzenia...
Niech się Pies uspokoi—
Przyznaję, że nie tem
Baran dziś, czem był dawniej, kiedy dwu rogaczy
Tryksało się o owcę, która wdzięcznym grzbietem
Witała mocniejszego...
Ach, dzisiaj inaczej!
Dzisiejszy hodowca
Wymyślił skopy; co lepsze ojce
Zamyka w kojce,
Otwierane zbyt rzadko...
Tak, biedna dziś owca,
Barany liche..."

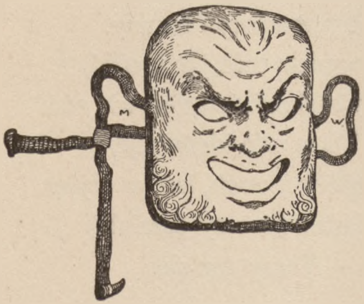
—„Więc dajesz mi"—Pies przerwie—
„Więc mi dajesz Psyche?"
—„Czy daję? Co też to Psu świta?
Zresztą, dla miłej zgody,
Niech Pies córki spyta."

Tu już Amora
Gniewu pękła zapora.
Wybucha szał, gryzący głębię duszy zwierza,
Jak żar, co potajemnie zwęgla rdzeń sąsieka,
Aż nagle po nad dachem płomieniem zatrzęsie.

Pies się wścieka,
Kły wyszczerza
I topi je w macierzy mięsie.
W środek stada
Opętany
Na rzeź wpada.
Żga maciory i barany,
I jagnięta tnie, jak Heród,
W sztuki skopi szarpie, rwie ród.
Tu w udo kieł wpije,
Owdzie w brzuch, tam w szyję.
Piana z paszczy oszalałej
Toczy mu się.

Biedne owce i skopy
Stały jak trusie,
Słabemi tylko beki
Beczące o ratunek. Właśnie.

Pędem od rzeki
Biegnie owczarz i chłopy.
Z nich jeden kłonicę
Dzierży. Nią Psa w czerep trzaśnie.
Padł. Śmierć mu zaćmiła źrenice.



MORZE I OSIEŁ.

Na piaszczystej mieliźnie
Szemrały morza fale drobne.
Szemranie podobne
Słyszysz w poszmerze
Cytryn, kiedy po zatoce
Cichy wiew się prześliznie
I o liść łopoce
Senny.
I był, niby kochania,
Szept, frunący na wybrzeże,
Melodyjny, i słodki, jak szmer nieustanny,

Który wydzwania
Strumień perlisty, gdy o głąb fontanny
Trąca
Marmurowej;
Albo jak litania
Mnisza, gdy z wieczora
W tumu stallach łka, i echem polatuje drżąca
W krużganki... I długo w muszlach nisz akord się słania
Jej minorowy:
PRO NOBIS ORA.

Zdarzyło się, że Osieł, by zwilżyć kopyta,
Wszedł w Morze i tak je wita.
— „O, jakieś ty płytkie,
Moje Morze, zaledwie sięgasz mi po łydkę.
Znudzony podwórzem,
Głębi łaknąc, drepcę, i cóżem

Znalazł? gdziem jest? W gnojowisku dużem
Nieomal jak łąka, ale gdzież tu głębia?
Gdzie?.. No, mów-że!
Co?.. Milczysz. O, jakże przygnębia
Zawód!.. A ów-że
Morza ryk sławny? Gdzie tu jakie ryki?
Co?..
Na rozum ścisły
Biorąc, wszystko to wymysły,
Niewarte źdźbła wyki,
Arcyłganie, w kłamliwej urodzone gębie
I w głupstwie mulniczem,
A które ja zgnębię!
Uważ-no, jak my ryczym,
My, zwierząt wybrani." —

Tu ryknął.
Zdawało się,
Że w zwierza krtani
Wrzeciądz rdzą zżartych z zgrzytem skrzypły osie.
Podobnie trze, zgrzytając w szparze,
Piła wisząca, której kamieniarze
Używają żelezca do żłobienia w ciosie.

Skrzypią zębce raz przy razie,
I jako, ku ochłodzie ich, ciurkiem woda płynie
Ze stągwi, stojącej na głazie,
Tak nadlatywały fale
Ku Osła goleniom.

Skupiony w ryku, rykiem zuchwały,
Nie zważał w zapale
Na przypływ Osieł, choć już wyżej kolan
Był polan.
Dopiero gdy, głębsze, srożej się rozpienią
Fale, gdy po słabiźnie
Morze go liźnie,
Poznał przecie
Grozę położenia. Nierychło!..
Już, już na grzbiecie
Czuje fal grzywę...
Zaskrzypiało z rozpaczą Oślisko pół-żywe
I ścichło.
Zwarły się kły fal białopiane.

Oto potężniejsze, nowe,
Dźwigną się wezbrane

Kabłąki fal, i, ogromne, idą w ogniach zorzy
Purpurowe.
Łuski fal migocą,
Pohuk chlupotania
Wód się sroży,
I nad tonią jękliwe dzwonią łkania
Mew, na ląd przed nocą
Frunących, jak żagwie pogorzeli.
Na wybrzeżu
Błądzi, jak mara, mulnik, rozpacza po zwierzu
I woła, lecz w silniejszym wichrze
Wołanie stawa się coraz cichsze, cichsze— —

WÓŁ I ŻÓRAW.

Wiosną, kiedy żórawie
inne włóczęgi
z cudzoziemskich wróciły wód,
i w młodej trawie ojczystej brodząc
za żerem (wszędzie ściga nas głód),
zwiedzały błonia, moczary i łęgi;
kiedy owadom miłosne mgnienie i śmierci erę
zwiastował czarną jaskółek przylot;
kiedy mazgaje słowiki żonom
po gajach kwilą;
gdy nad ruczaje chwiejne wikliny
liście pochylą;
kiedy motylom już porzucono,
jak nowe cacka,
w darń polne kwiaty dziecinnolice;

kiedy pastucha, grając tęsknicę swoją
z prostacka,
w fujarki wylot stukał „palicem";
gdy w jarach jaśmin i głóg zakwita,
powój zroszoną wypręża czarę: —
orką strudzony pod żyta jare, Wół
na pastwisku legł, nieciekawe oko
w dal wlepił i żuł murawę.

Żóraw, co właśnie był na tę chwilę
skończył swą wartę,
skierował w stronę Wołu badyle nożne
i rzekł w te słowa, nieco utarte.

— „Witaj mi, jego mości wołowa."
— „Witajcie, kmotrze. Goście z was rzadcy."
— „Jak zdrowie radcy?"
— „Ot, aby-aby. A wam jak służy?"
— „Dziękuję, nieźle jak po podróży!"
— „Powiedz też, panie obieżyświecie,
czy na obczyźnie słodsze są żaby
i czy nie nuży wciąż tak się szastać
po bożym świecie?
Mnie-bo przechadzka nawet
do sioła z roli obrzydła: jest bez pożytku.

Wybacz, jeżeli tem cię obrażę, alebym wolał,
żebyś raz osiadł już, do stu jarzem!
Co cię tam woła?“

— „Dość mam was, bydła, mój czworonogu,
wiosną i latem!
Gdybyś miał skrzydła,
to mógłbyś pojąć, co mnie tak goni.

Bodaj w Assyryi czy w Babilonii niegdyś bywały
hufce skrzydlate wołów czy byków,
słowem — mołojców: te wzlatywały
nad ziemską trawę... Lecz dzisiaj niema
ni ojców byczych takich ni matek!
Pługi wam tylko
włóczyć niemrawem cielskiem w zagonie!
gnój wam na podściół i czarna skiba!
Cała poezya w was — chyba kwiatek
przy sztuce mięsa, po marnym zgonie
za murem jatek!“

Słuchał Wół, słuchał, i coraz niżej
ciężka się schyla głowa wołowa.

— „Tak, tak...

Lecz co tam, kmotrze — baj-baju...
Jeśli ci latać już tak przypiła —
toć możesz w kraju.
Jeśli koniecznie już tam w niebiosy'ć trzeba,
czyż mało swojskich przestworzy?
Albo to u nas ptaków nie dosyć,
którym nie śniło się o podróży,
i żyją — żyją cały rok boży?

A jak to miło — co dnia w rodzinne
wracać pielesze, w pobliżu chaty,
albo na strzesze... Cenią cię, strzegą...
A przyjdą mrozy, to z indyczkami
masz pomieszkanie: ciepło jak w uchu,
na zawołanie wikt" —

— „I rozmowa z pseudo-kolegą,
który nad studnią kubełek trzyma, —
życie — niczego!.. Zrozumiej, Wole,
że nie każdemu znów się uśmiecha
kołkiem zabita rodzinna strzecha...

Czy wam tak wiecznie żyć przeznaczono

w ciepłym stosunku z radłem i broną?
Czy wam tu nigdy, nawet we święto,
dusze nie płoną?.. I gdzież wy myślą
jesteście, kiedy wytchnienia cisze
legły wieczorne, kiedy uprzęże
zdjęto z was, kiedy zwolna ustają
roboty orne i noc się lęże?...

Czy was, w mozole, wołów oślepłych,
już w nozdrza kole wszystko,
co nie tchnie odorem mierzwy?

Czy wam, ratajom, nic się tu nie śni,
że tam przedwieczne w kamiennej cieśni
szlochają morza, że obłąkany wichr
puszcze łamie, że po szkieletach
brną karawany; że góry tają żar i płomienie
law na zniszczenie prac od stuleci?..

Wam dobrze, którym dość, że rozsądny
wiatr kornie dźwiga wał wiatraczany,
że owinięta we mgły, tumany, śpi
ziemia płaska—dobrze wam; ale
nas, ptaki, łowi tu człowiek „cwany“

w wyzysku pęta... Ot masz—
bocianom już niemowlęta każe przynosić!
albo studziany żóraw?—zeń drewno,
skrzypiące skargą w poziomym trudzie
zrobili ludzie. Im jeno pozwól,
wnet cię zaprzęgą...

O, sambyś pewno,
stary ciemięgo, zaryczał raźniej,
gdybyś mógł z nami fruwać nad ziemią,
tam, pod chmurami, kiedy w tryanguł zgięci
lecimy—tam... Czy dasz wiarę?—tam niema zimy:
na lodozwały górskie wygnana
ziębnie samotna, w bieli skostniałej.
Tam rozbiegane morze się tłucze w dole
o skalną krawędź, i pieni,
i łamiąc dłonie z bladej bezsiły,
powraca w tonie, a my—wzniesieni—lecimy—
klangor dzwoniący!“

—„Tak, tak... poezya.... dziecinada...
wyobraźnia chora... Mój kmotrze,
nie żyje się od wczora, słucha się,

gada, toć zawsze coś-nie-coś o uszy się otrze.
Górne loty!.. Poezya!.. Znam ją.
Pamiętam, gdym byczkiem tylim-ot był,
od stada-m odbiegł raz i, luzem chadzając,
wlazłem w zakazaną wyczkę.
I cóż powiesz? Poskubawszy trochę,
wróciło się z guzem do obory — i finis.

Takie rzeczy plamią.

Szczerze ci powiadam: rzuć latanie płoche!
jak mnie tu żywego widzisz —
najlepiej przy pracy...
Ale com to chciał mówić?.. Powiedz-no,
dla czego wy, ptacy,
jeśli lubicie obcy, daleki kraj ten,
jeżeli łaskawsze są dla was te morza, te spieki:
nie zostajecie w tym kraju na zawsze?"

— „A ty, szanowna arko rolnicza, powiedz,
czy nigdy nie gna cię w pole
nic, oprócz bicza?
Jakże z tym Majem?..

Pytasz, dlaczego tam, na obczyźnie
nie pozostaję? dlaczego wracam?
Wracam, ponieważ tutejsza wasza
wiosna... ponieważ...
E, co tu gadać!..
Jest chwila, kiedy ból ci się wśliznie w serce
i dręczy tak, że—zaśpiewasz, krzykniesz
i lecisz...
Chcesz jaknajdalej być od krainy,
Gdzie wszystko pali;
gdzie sztywny kaktus się rozpanasza;
gdzie aloesy, tkwiące w szczelinach,
zielone grzeją cielska, jak płazy;
gdzie oschły cyprys ponuro wwierca
korzeń w upłazy; gdzie cień mordują żary i susze;
gdzie rzeki niebu oddają dusze,
pokotem leżąc pousychane, jak wężów skóry...
Widać to z góry...
Widać, jak pinie zgarbione,
małe, na szczyt się skrabią wyżyn, upałem
zdjęte; w przelocie widzisz odarty
z kory eukalyptus uwiędły, chory, i palmę,
która w cień nie odziewa pnia,
co, bezlistny, jak kij żebraczy

w pustynnym blasku!..
U was inaczej!..

Tu już wiosenna
przeszła ulewa.
Mokra, spłókana
czerni się droga,
niebo różowi
ranna pożoga;
leniwe chmury
pół-senne biegą,
i przydrożami —
hen, wedle płota,
wsiowi zdążają
zwolna, gęsiego.

I nad rosami pól
wczesnem ranem
lecąc,
obejmiesz
skrzydłem zmachanem
widok tych nizin,
tych błót i błoni,
i padniesz w łące,
w kwietnej ustroni.

Tu cię muzyką
jaknajgoręcej wita
owadzi chór
i ptaszęcy;
tu ci radośniej
dźwięczy brzęczenie
mizernej muszki;
radośniej kwitną
małe kwiatuszki,
co swe liściny
chwieją posłuszne
lichym wietrzykom;
twój nawet, Wole,
kadłub mnie cieszy...“

—„Przerwij, Żórawiu, do stu lemieszy,
nudną tyradę! Niech tam już sobie
„kwiatuszki“ rade, ale mi nie chwal much,
tych hultajów bąków—
pijawek, co wciąż mnie kłują!
Dość tych zabawek!
Precz z tym owadem, precz z tobą, z Majem!..

To ja, przy sosze, wylewam w glebę

ostatnie poty, od ludzi batem dostaję,
od was pogardę znoszę, hołoty, —
naści!!!“

Tu chcąc Żórawia przebóść, nastawia
już do napaści łeb, ale Żóraw
zerwał się z muraw, i to go zbawia.

Wół rozjuszony
ziemię, w rankorze, kopytem orał
i traw zielony liść kalał śliną,
a ptak zaśpiewał jakowyś chorał
i w lazurowe — hen, ku wyżynom —
leciał *BEZDROŻE.*


M
W

NOKTURN.

Pudel, w psim świecie mędrca cieszący się sławą,
Że tłuste z alfabetu wywęsza litery;
Kundel, co zwykł urągać niepojętym zjawom —
Więc krytyk, — dalej Buldog z wejrzeniem megiery —
Obraz cnoty i statku, — i Jamnik, co żwawo
Dołki kopie, jakoteż drobniejszy psi ludek:
Powstawszy z materaców, lub wylazłszy z budek,
W noc, zwolnione z oków,
Jęły szczekać na Księżyc.


HORS D'INSULTE

— Sam!
— Taki odludek!
— Jeno w gwiazdach, śród obłoków!
— To też nie ma zdrowej cery!
— W rzeczy samej!
— Jak cytryna wygląda!
— Która ma plamy!
— A jak niegrzecznie ku nam wypina
okrągłość ronda, w tak zwanej pełni!
— Taki zarozumialec!
— Nie zna, co bud kadry!
— Objętość zmienia!
— Ma jakieś kwadry!
— Młodzież uczy rozmarzenia!
— Nic wart społecznie!
— Najzupełniej!
— Lada świeca ma więcej uspołecznienia!
— A już się równać nie da z latarką!
— Podczas zaćmienia tli się,
że wstyd by było ogarkom!
— Albo znów, gdy nów, zciemnia oświatę
nam, nocnym Markom!
— I tak przyświeca, że choć wal w gębę!
— Dojął bym ci go zębem, ażby mi srebrną
lunął posoką!

— Cóż, psia natura,
kiedy wysoko!
— I kto z nim wskóra!

Tak co noc wybucha to cieniej, to grubiej,
Z Ziemi do Księżyca
Niechętny zgiełk wrzawy
Psich synów,
Z których tresura
Wytrzebiła ducha.

Ten go oto pies gubi
Pod kijem,
W czas prędki;
Ów go dla kęsa strawy
Powolniej zatraca,
W miarę, gdy tyje;
A inny — dla obroży malowanej w centki,
Lub dla materaca;
Ten, wreszcie, żywić ducha zgoła niema chętki.

Swieć im kat!
Stryk nie minie
Psiej kamaryli.
Jej krzykliwe mniemania
Gasną tam, w wyżynie,
Zkąd Księżyc jasne lice chyli
Niemy,
I płynie,
Jako świetlana myśl i cicha
Nad padołem —
Nad Ziemią, która — pono
Jak wszystko, co ziemskie,
Czyli kobiece —
Przyciąga społem
I odpycha:
Mórz mu łono odsłania,
W pierś wygięte,
I psów mu szle ujadania...

Snać chcą teoremy
Niepojęte,
Że oderwań w przestrzenie
Moc odbieżna i ciążenie
Atomów —
Wiecznem skuto pętem.

Tu westchniemy.

Z astronomów
To wiemy,
Że przed iluś laty,
Księżyc z Ziemią był żonaty,
I razem upędzali się wokoło słońca.
Pominiemy tu, zali
Wiercenie się to wspólne, czy ta jednia,
Czy związek to miły
Był, — dość, że siła odśrednia,
Alias dusza bryły,
Wyrwawszy go z ziemskości,
Rzuciła w przestrzenie.

Tam, choć łatwiej mu bytu
Przenikać istotę,
Choć bliższym jest końca,
Czy może rozkwitu nowego, —
A przecie nieraz czytasz
Z bladych lic Księżyca
Tęsknotę,
I że go mami
Jeszcze ta ziemska Ziemia,

Z mierzwą, marglem, błotem,
Nawet z jej psami.

A kiedy nocna cisza w nim żałość podsyca,
Wtedy ziemską szatę
Jej olśniewa,
W srebrne ją opony
Marzenia stroi,
Aż mu zalśni majestatem.

Oto dom, z gliny lepiony,
Stoi ziemski,
Jak proch widny mu z bezbrzeży;
Oto ze ścian ścieka lama,
Mieniąca się od pozłoty;
Oto dach tam leży,
Jak głowa w koronie,
W której lśnień tkwią groty
Strzeliste, i płonie
Licha nad nią gałązka drzewiny
I zda się berłem.

Tak muszla perłowa
Proch obleka w perłę.



RUCH ETYCZNY.

KRONIKA.

W pewnej gminie
naprawę swego bytu uraiły świnie.

Na wygonie, pod lasem,
stanął wiec.
Za okrasę
ceniony (któż tego nie ceni?)
i za biegłość w mowie,
wieprz Gnojoryj *) na chojaka pień wylazł i basem
zagaił.

— „Szanowna trzodo!

(* Gnojoryje od świni Noego ród wiodą.

Za łaskawą świniarka i psa jego zgodą,
my, niżej zgromadzeni,
świnie i wieprze,
stanowić mamy o zmianie na lepsze.
Ekonomiści nasi (nie ekonomowie)
tudzież inni uczeni ojcowie nierogacizny
twierdzą, że nieszczególne prowadzimy życie.

Spójrzcie w głowizny
wasze... Czy już? Cóż widzicie?
Niewesoły jadłospis: na plewie
pitraszoną karmimy się strawą,
mieszkamy w chlewie,
słowem, gdzie oczy zwrócić: na lewo czy prawo,
w Kiernozi czy Mińsku —
świnie żyją po świńsku"...

— Brawo! brawo! —
z uznaniem krzyknęli słuchacze.

Tu karmnik Wkorytowlaz, chudszy, choć też spory,
mniemając, że perory

koniec, na drugi pień skacze
z temi słowy.

— „Przedewszystkiem zganię
poprzednika zdanie,
wygłoszone tu z tego... nie —
z tamtego pieńka —
Omyłka maleńka... he, he... Otóż,
gdy na pierwszym planie,
według pana Gnojoryja,
postawimy odżywianie,
łatwo, tuszę,
rozwój słoniny zaleje nam dusze.
Również się z istotą mija
doniosłość faktu, że mieszkamy w chlewie.
Wpierw sobie trzeba pytanie etyczne
zadać: czy żyjem cnotliwie?
a postawiwszy wytyczne,
oprzeć żywota koryto
na ideale“...

— „A bodaj cię zabito
na kiełbasy krakowskie jeszcze w tym kwartale!“ —

przerywa mu Gnojoryj. — „Niech pan się wytrynia
z pniaka,
główʼ nam tu nie zawracać!
Cnota ladajaka,
gdy jak pies mieszkasz a żyjesz jak świnia.
Mawiali Grecy: *nie wychowasz lwa na sianie,*
a Rzymianie dodali:
W zdrowem sadle zdrowa świnia“...

Tu się kwik uczynia.
Poglądy za i przeciw krążą, piana kryje
Swarliwe ryje.
Niektóry, co ruchliwszy — dowód kłem popiera.
Zgoła, przywary stare, chociaż nowa era.

Tak gdy rai rzesza,
jakiś stary, cherlawy, z miną apostoła
wieprz się miesza
do sporu. Nie jest on wymowny,
i w sylabach niewielu streszcza się. Odkrycie
zrobiwszy jeszcze w prosięcej
dobie, że najtłustszych świń najwięcej
ginie, postanowił wstrzymać tycie
swej osoby. W tym celu nad dwa-trzy korzenie
nie jadłszy, dużo biegał, myślenie

ćwiczył i spał tylko trocha.
Tak żyjąc, chudy, dożył lat Enocha.
Niech tak wszyscy czynią —
kończył — a ludzie dadzą pokój świniom.

— Precz z nim! — wrzasnęła tłuszcza z rzadką
jednomyślnością. — Także metodę
znalazł! Toć już bodaj z jatką
poznać się lepiej, niż przymierać głodem! —

Zaczem nowy rzecznik wstąpił na kłodę.

Był to wieprzak, z mizeryi do świńskiego cienia
podobniejszy, niż czegokolwiekbądź innego w świecie;
szczecina mu na grzbiecie
rosła na podób grzebienia —
symbolu czystości.
Mówca chrząknął, jak gdyby wykrztuszając ości
rybie i zaczął.

— „Pozwolicie, że wlezę
też w ten temat żywotny. Jabym radził ascezę.
Niech świnia z wieprzem będzie, jako siostra z bratem:
uniknie się zgorszenia, a co za tem

idzie — potomstwa. Jest to sposób jedyny
odzwyczaić człowieka od jadania świniny."

Zaledwie skończył okres, aliści dziewice
i co młodsze matrony, zwlókłszy go z mównice,
wzięły na ryje.

Kiedy tak każdy z mówców dostawał po nosie,
zdawało się,
że już niczyje
się nie ozwie słowo;
lecz przecie dał się słyszeć z teoryą nową
kawał dzikusa, warchoł krnąbrny i przeznaczon
na litewskie szynki.
Ten zalecał prostotę wieśniaczą
wskrzesić. Nie zwłócząc krzynki,
do lasu dać nura
i żyć tam jak przodkowie, jak każe natura.

— „Albo to mi źle w lesie? Żarcia tam, że ino:
żołędzi w bród, buczyny, a grzybów, a trufli!..
Wycieczki w szkodę można, kto pości,

Od czasu do czasu
robić, ziemniakiem wnętrzności
wesprzeć albo i boćwiną, —
swoboda, luz i tyle!.. Miedza, góra, rów-li —
skacz, pyskuj, ryj, dokazuj: po skórze nikt nie da!"

— Do lasu, do lasu! —
wrzasnęła czereda,
i powszechnym cwałem
wyraziła uchwałę.

Tu dziejopis rzuca pióro,
by załamać ręce nad słabą naturą
świńską. Jakże niewytrwałe
dusze zlepia
z ciałem przyrodzenie!
Zaledwie pierwsze wpełzły w bór zachodu cienie,
wszystkim jakoś łzawo
patrzały ślepia,
a kiedy zorza ostatnim szkarłatem
bluzgnęła po niebie,
wróciła trzoda do chlewów — do siebie;

wróciła, tęskniąc za psem, za batem,
za zwykłą strawą,
warzoną w saganie, —
wróciła — znowu mistyczne czekanie
oblewać łzami,
zgadując: kto też najprędzej będzie
wędził się w swędzie
jałowca jutro
na polędwicę albo salami?..



TOWARZYSTWO.

KRONIKA.



Pokój dawszy łowom,
Lew-król, na dziś syty,
Bawił się rozmową z Lisem,
Który chytrze tai
Każde trzecie słowo.

Nie przeto, by sumienie
Miał mieć od Lwa brzydsze,
Ale ot, coś w grdyce
Dławi go, jeśli duszy
Podnieść ma przyłbicę.
Może to wynika ztąd,
Że jeszcze w szkołach gdy był,
Jako szczenię,
Wyczytał w jakimś Adamie zwierzęcym:
Język kłamie głosowi, a głos myśli kłamie;
Dogmat ten miał w cenie,
I nie chciał zbytniem mieleniem języka
Łgarstw przymnażać światu.
Co do Lwa, to jego mość wielmożna,
Wiedząc, że, pod winą obrazy majestatu,
Nie słuchać ryku jej niemożna,
Wyrazy siała bez liku.

Gwarzyli o polowań ostatnich wyniku,
O zarznięciu świń paru i cieląt kilkorga,
O słuszności żądania od obywateli
Po zającu z morga,
I tak, gadu-gadu,
Ani się obejrzeli,
Jak na szczyty najwyższe
Weszła im rozmowa o tem:
Jak się ku stadu łań
Żerujących skradać,
Jak to serce przestaje bić
Przy lada szmerze,
Jak słodkie rozbestwienia
Widuje dąbrowa,
Jak dymi purpurowa krew
Żłopana żywcem,
Jako matni się strzeże zwierz,
Jak, ranny, chowa
Przed człekiem-myśliwcem.

Wtem w antykamerze — dzwonek.
W jaskinię Żóraw wkracza.
Słynie z poczciwości ptak ten,
Natura prostacza, każdemuby z gardła

Wydłubywał kości,
Jak to było z onym wilkiem,
Który go za to kopnął
Nieco sarkastycznie.

Tak to w życiu — mądrze, choć nie ślicznie,
Urządzone: dobra kwarcie
Odpowiada tyłaż miarka,
Albo i większa, złego.
Na to się sarka,
To paczy optymizmu idealne parcie,
Które nas upiększa,
Lecz — wyznajmy otwarcie —
Zali można inaczej?
Zda się, ani kapki.

— „A!“ — Lew ryknął — „jest niecnota,
Zajączki młode żrąca, żabki,
Gdy nam, ssącym, wyjąwszy może kota,
Ani śni się
Komukolwiek przyśpieszać zgon
W państwie skrzydlatem.
Czyż nie prawda, Lisie?“

Z Lisem Żóraw jak z bratem.
Bo choć raz na stypie
Lis ptakowi dał barszczu
Z dna płytkiej patery,
A Żóraw Lisa karmił
Z wązkiej szyi dzbana:
Przecie lat już cztery minęło,
Sprawa zapomniana
(Czas wszystko umorzy),
I dzisiaj żyją z Lisem Żóraw nienajgorzej —
Osobno. Tylko tu, społecznie,
Przy Lwie, chcąc zaznaczyć
Przedniość swą w dowcipie,
Lis szydzi z nóg Żórawia
I w one go szczypie.

— „Możnaby u szwajcara zostawić te tyczki,
Poniekąd wyjęte z grochu lub fasoli“ —
Rzecze. — „Taka tyka,
Gdy ją ugryźć w piętę,
Uczuwa bóle w kroku zaledwie po roku.“

Ptak za te przytyczki
Kole dziobem napastnika

Nie chcąc przy Lwie-świadku
Być na ostatku.

Tej krotochwili śmiech towarzyszył
Lwa najłaskawszy.

Po małej chwili
Drzwi gość odmyka nowy:
Wół, zniedawna mąż krowy,
A więc z byka wołem zostawszy,
Lwu przyszedł bić czołem
Tudzież podanie wnieść najpoddańsze:
Że kiedy ojcem on, Wół, zostanie,
Niech wzgląd na jego przyszłe cielęta
Majestat mieć raczy,
Gdy jego, Wołu, pilność i piecza
Będzie zajęta cnotą swej żony,
I jeśli który z jego smarkaczy,
Niedoświadczony,
Zejdzie mu z oczu;
Lub też odwrotnie — niechaj mu krowy
Nie ukalecza Lew za podatki,
Jeżeli zdybie ją na uboczu.

Rzekł dobrotliwie Lew.
— „Widzim radzi,
Żeś nie jest, jako ów Ugolino,
O którym mówi poeta Dante,
Że zjadł swe dziatki.
Dojrzeć małżonki także nie wadzi.
Owszem, *eo instante*
Zakażemy lampartom
Twojej pani czynić wstręty;
Polecimy wszystkim wartom
Psów, szakali
Straż i baczność nad cielęty.
A propos, ileż tego macie na pociechę?"
— „Nic, ale pragnę mieć przychówek spory."
— „To ci się chwali!" —
Oznajmił jaśnie-Lew, i wąs kręty
Zadrgał mu śmiechem,
Grzecznie pokrytym dworną radością,
Bo właśnie robić honory gościom
Wypadło innym.

Słoń baletowym zbliżył się chodem,
Jak gdyby wcale bez utrudzenia
Nóg dźwigał pale
I, niby kłodę, tułów, na którym

Siedziała Wrona.
Ta, po przywitań ceremoniale,
Najtroskliwiej zaraz czyni
Brudy na inwentarzu ruchomym jaskini.
Co widząc Lew, oświadcza wszem,
Że kona z nudy,
Że wrota każe zamknąć,
By mu niechlujna, ze swym nieładem,
W dom tu hołota
Nie nałaziła;
Lecz że, pijana,
Może przystojniej zabawi pana,
Prosi obecnych tu — na biesiadę.

Ruszyli do Wieprza
Społecznem stadem,
Gdzie wino najwystalsze,
Gdzie wódka najkrzepsza,
Gdzie najskuteczniej pęczniał zwierz,
Spit piwy.

Szli w parze: z Wroną Żóraw,
Prawiący jej o krajach dziwy,
Które poznał w przelotach był,
Za dni tułactwa.
O grze fal barworodnych plótł,
O morza woni, pędzie, wrzeniu,
Szumie wiatru w górnych lotach,
O *table d'hôte*'ach błót przygodnych,
O krzykliwem i hardem upierzeniu ptactwa
Puszcz niegwałconych, pól niedartych broną,
I o innych rozkoszach
Doznanych w wędrówce.

Wrona surowo gromiła mówcę:
Że to — powiada — morze, woń, kwiaty,
Wiatry tułacze —
Wszystko jest marność.
Najlepsza czarność, bo nie wymaga

Blasku ni mycia.
Dobra jesiennych pól szarość naga,
Gdy mgła, osiadłszy na trawach, płacze,
I ścierwo leży w stanie pół-zgnicia.
— „Dobrze jest krakać za wsią, na płotach,
Czekając zimy,
Miły też wronom zaór ozimy,
Którego łubość podzielam z Wołem.“ —

Wół z Lwem szli społem.
O cnotach mówiono rodzin,
Gnoju, gipsie, trójpolówce,
O cielętach, krówce...
(Wół Lwu się zwierza, iż dzieci —
Cała poezya zwierza,
Której trwanie byłoby dłuższe,
Gdyby nie rzeźnik i wychowanie).

Ze Słoniem Lis na bakier
Wlekli się, jak stadło,
Któremu się wielbienie
Nawzajem przejadło.
Bo Słoń czci postęp, Lis — dusza dzika,
Słoń kły wyszczerza,
Lis trzyma je w paszczy,

Więc przymierza niema.

Przybyli. Tu z Wieprzem dawno
I za pan-brat już piła Hyena —
Zwierz, towarzystwu rad,
Samotności nie znosi,
W pobliżu wielkich stad się słania,
Gdzie od bójek i kochania
Ziemia się trupami kłosi.
Na trupy — kat.

— „Ja funduję!“ — Lew ryknął. — „*Veritas in whisky!*
Nuże tam, fagasa!...
Śledź, ośle, mięso, picie i wety — piorunem!
I likwory z kawą,
Kto chory, ma *vichy*.
Dalej, lać wam w pyski?
Sami? Wyśmienicie!
Jeszcze kolej!.. Jeszcze!..
No cóż? Nieruchawo?

Czy tu konwent mniszy?
Hej, grajków tu! Świerszcze,
Żaby, słowiki!"

Po szóstej kolejce, biesiadniki
Językom popuszczały lejce.
Ryk się z porykiem, słowo z słowem ściga,
Ale każde ku innej bieg kieruje mecie.
Lis plecie o habicie,
Wół rzyga,
Lew mu radzi *whisky* z miętą.

— „Przerwijmy" — huczy Słoń ucięty — „picie,
Albowiem..."

— „Wiwat mówcy zdrowie!" —
Krzyknięto. Poczem pito.

— „Otóż powiem swój pogląd
Na wszechbyt, na życie...
Panowie! Świat to wielka figa,
Którąby każdy wyssał rad,
Lecz to zależne
Od zręczności trąby.
Każdy dźwiga, co uniesie,

Dola silnym sprzyja!" —

Tu Słoń wzniesie, jak maczugę,
Wydłużenie ryja.
— „Zatem,
Hipokrytą jest, kto żyje skromnie,
W istności własnej wązkim zakresie
Widząc zasługę.
Co do mnie, to ciała mikrokosmów wielu,
Traktuję, jako losem daną mi sałatę..."

— „Powiedz pan „*tratuję*," będziesz
Bliższym celu" — rzekł Lis.

— „Prawda, prawda święta!" —
Krzyknęły zwierzęta. — „Żyjmy chwilą!
Żyć nam niewiela dni! Hej, grać! kapela!"

W lot każdy zwierz nastraja krtań
I tnie jak z nut
Ten znany hymn społecznych trzód.

Rośnie wołowi róg,
Orłu — szpon.
Zguba nas łowi
Ze wszystkich stron.

Kto najmocniejszy, ten
Życie zgadł,
Kto słaby, mniejszy,
Czeka go mat.

Kto innych zjada, ten
Bywa syt:
Tak chce zasada
Walki o byt.

Gdy służy zdrowie, brój,
Morduj, grzesz:
Za to odpowie
Dziad twój — pra-zwierz.

Troska jedyna: rość,
Pić i jeść,
Podług Darwina —
Chwała mu, cześć!

Tu za „oświaty“ zdrowie huknęły wiwaty,
Zdolne zbudzić nieboszczyka.
Zaczem, gronem pijanem
Owłada żądza uczonej muzyki
Ze śpiewem solo.
Więc, po przepiciu,
Proszą Hyenę, by zanuciła
Coś z fortepianem.
Koniki niechaj rzępolą pianem,
I bąk niech bzyka.

Ot co zawyła mistrzyni w wyciu.

Tak mi z przyrody wypadło,
Że kocham wszystkie samice,
Nie pomnąc, czyjeby były:
Owce, kobyły, oślice.

Póty wyję im najsłodziej,
Aż chwila luba przychodzi,
Że je porwę, że zachwycę.

Kocham wszystkie bez wyboru:
Cud, „tak-sobie,“ czupiradło,
Bo jedna ich cena—padło,
Które lubię, bom Hyena.

— „Śliczności!“ — Lew zaryczał. — „Bawię się
Jak króle.“

Żóraw z Wroną,
Wytknąwszy dzioby, jak czat piki,
Słuchali (każdy ptak wogóle
Do muzyki prawo sobie rości);
Chrząkał Wieprz, rad z gości.

Tylko Lis, świętoszek,
Pień ckliwych nie znasza.

— „Bydło!“ — rzekł Lwu — „Mość Wasza
Nie znajduje, że są nasiąknięci
Do wrębów... Ten Żóraw z dziobem,
Który milą można mierzyć...
Ten Słoń, ważący, nie wiem ile kilo,
I ten hyeni śpiew o miłości!..
Do licha! Toć i moich chęci prąd
Mnie popycha do kwok, kokoszek,
I gęsiej pieczeni,
A wszelako z nim walczę,
Bo uważam za zło
Wszystko źreć zaraz, co mi w łapy wlazło.

W ogólności, rani mnie to życie,
Kołem mi stanęło w krtani,
Zbrzydło to wieczne i zdradne mamidło
Czegoś i wieczne upadki.
Dobrem jedynie bywa stan (ach, rzadki!),
Gdy się instynktu oprę pobudkom.

Lecz to trwa krótko,
I znów mnie jakieś chuci płazie schwycą.

To smutne! To boli!

Najtęższa cnota ulega skazie,
Co raz stworzone, ma być zepsutem...
Uroczość piękna więdnie... nawet nie jest
Absolutem byt, wywleczony myślą
Z nieistnienia!..
Wieprzu, bracie, dolej!..

Może za życia znajdę granicą
Sposób wiecznego trwania w ekstazie,
Gdy to nie gnębią żadne zwątpienia,
Gdy sam się czuję synogarlicą
I widzę innych z duszą gołębią...
Tak, bo w świat moje *ja* się zamienia.
Wfruwa do tego dusz gołębnika

Cały dobroci mojej pierwiastek,
Ze mnie więc znika;
W takim zaś razie —
Niechaj mi Wasza Mość zechce wierzyć —
Ja me, wcielone, może już nie żyć.“
(A w myśli doda: — „No, samo przez się,
Gdy mnie, w postaci dobra, świat wessie,
To zawsze, jako ten zły ostatek,
Chyba nie szkoda w życiu się resztę
Latek przewartać.“) —

— „Droga otwarta’ć,“ — rzekł Lew — „lecz pytam,
Co cię tak pili już
Elizejskie błonia zazwierzyć,
O których wiedźmy wróżą napoły:
Czy jako woły tam się zobaczym,
Czy jako lwy tam będziem błądzili?
W co się przedzierzga, kto tu umiera?
Czy tam są duchy, czy pustka szczera,
Dokąd ostatnie tchnienia polecą?
Nie wiemy.
Choć żywot kruchy,
Zawsze’ć ja wolę, jak ten z Homera
Achill, na ziemi być z mięsa, z juchy,
Niżeli żyć tam, jak kaduk wie co.

Dla nieudolnych pociechą myty,
A dla nas szczęściem jest—w paru susach
Ciało rozprężyć i wkłuć pazury
W biodra gazeli,
Źreć, trwać pół-sennie,
Sierć prażyć w słońcu
I słuchać trzmieli brzęku w bambusach...

Żyjmy. Mrzeć—bliźnim dajmy pierwszeństwo.

Widzę, żeś Słonia jest przeciwieństwo.
Bo gdy czworonóg ten skórogruby
Swiat pragnie zmienić na swoje połcie:
Ty chcesz swej zguby na korzyść świata,
Ażeby dobra był wymiar większy,
Lub mniejszy nierząd.
Czemu ten zdjął cię samowstręt jakiś,
Dziwny u zwierząt?

Śmierć nie upiększy.

Żyć łatwo, lubiąc pospołu siebie, jako też
Innych, oraz ich zdrowia pić,
Jak ja Wołu...“

Tu kub wychylił:

— „Za zdrowie wasze, mój Wole luby,
Któremu miłość krowia dni mai!
Cóż, przyjacielu, powiedz, jak snadnie
Szczęśliwość w życiu
Posiąść wołową.“

— „Daję wam słowo!
Ja, który-m darmo przeżuwał paszę,
Ja, który-m gził się, brykał bez celu,
I nieodbicie dążył do zguby:
Gdym ją, *ją* poznał, nibym na nowo
Rozpoczął życie,
Które wypełnia
Miłość, porządek i zdrowia pełnia.

Jeżeli ja, byk marny i w grzechu,
Dla krowy ideałem — zrozumcie — na zawsze
Zostałem, tym jedynym, — zrozumcie —
No, to dla mnie tak błogim jest zachwytostanem,
Że — zrozumcie — łąka,
Gaj, wygon, wszystko wokolutenieczko,
Co nęci buhaja,
Może dla mnie nie istnieć,
Byle *nią* paść oczy!

Jeżeli żłób nas jeden w oborze spaja,

Będzie dla mnie gnojówka zdrojem,
Piasek — sieczką, słoma — sianem;
Jeżeli wspólne nas jednoczy łoże,
Jeżeli jednę ukochalim pracę
Koło zagonu,
Barłóg wspólny materacem
Nam będzie z edredonu...
O ty, moje krowiątko, ryczące,
Gdy mnie niema, gdy mnie świeża
Woń traw pogna dalej!..

A raz mi się zwierza z rumieńcem,
Że się do niej pali byk sąsiedzki,
Lecz że ona ni mru-mru...

Zrozumcie: taka wierność, taka
Dusza bratnia!..“

— „Patrzaj,“ — rzekł Lew do Lisa — „jak szczęsny
Wół, który krowie los powierza.“

Tu znacząco pomruknął, przyczem uwydatnia
Kłów szereg i wzrokiem przedziurawia ścianę,
Jak gdyby za nią dojrzał od Wołu krowiątko
To umiłowane.

— „Będzie ci ona hecki wyprawiać, mój Wole
Poczciwy," —

Wieprz powiada.

— „Kto kochaniem
Działa, wierzy, wzdycha czule,
Nie zna końca zachwytom,
Temu chętnie oddają krasnule kopyto, —
Które że z sercem nie jest tożsamość,
Więc każda bez mała
Kocha na boczku byczka-sowizdrzała.
Napróżno sapie Wół smętny, wychudły...
Rób jako Lwia-Mość:
Skacz, łap za kudły —
I po zabawie."

— „Zbyt krótkiej," —

Lis dorzucił.

— „Cóż mi za ponęta,
Jeśli zduszę kurę,
Lub kaczkę zdławię nagle,
Nim onej duszę
Zadrasnę pazurem?

Co to gadać! Drobiu duszyczka
Tak różna od naszej,
Że skok zbyt jawny tylko ją straszy,
I albo zemknie ci do kurniczka,
Lub da się zjadać
Jak męczenniczka.

Dość na to-m kuty. Póty ją stroję,
Póki właściwej nie wyda nuty.
Więc się jej chwali wszystkie koguty
(Swoich rywali), to robi zacnie
Względem kurusi, bo wtedy ona,
Chcąc mieć odrębny sąd,
Ganić musi.
Potem się uda, że tak ją biorę,
Jak chce się wydać,
Bo każda, widać, lubi się okryć
Jakimś pozorem.
Czystą udaje, cnót chłodem ziębi
Ta, która grzeszna jest jak Mefisto;
Zaś dobra w głębi, uległa, tępa,
Ma wygląd sępa i grozi szponem.
Ja do tych płonę — powiem — najbardziej.
Umykam niby, objęty grozą,
Ona, zwycięzko gdacząc, mnie goni

Ku krzom i łozom,
A tam już po niej...

I nieobłudne są też kokosze
(„Ot taką jestem i bierz mnie taką").
No, tych nie znoszę,
To szkodzi smakom,
Bo każdy frykas wymaga pieprzu...
Dolej-no, Wieprzu!" —

Po tej przemowie Wół zapadł w smętek
I przeciw krowie w duchu się burzy.
Słoń głośno chrapał.
Nie było chętek do picia dłużej.
Hyena z Wroną po kątach czkały.
Żóraw się taczał nietrzeźwym lotem,
I Lew miał w czubie. Wstał, przez pustotę
Odgryzł Wieprzowi ze schabów sadła,
I rzucił na stół trzy imperyały.

. . . .

. . . .

. . . .

Wracali chyłkiem, senni. Dzień wstawał,
Noc bladła. Gaszono latarnie.
Do robót śpiesznie ludzie szli.
Gwarnie wóz zaturkotał,
Na targ wiozący kmiotka i jego kobietę,
I stróża postać niewiotka,
Z klątw i skobli zgrzytem,
Otwierała bramę.

SPIS RZECZY.

I.

II.

Inicyały w tej książce, oznaczone literami M. W., wykonał Maryan Wawrzeniecki; reszta ozdób zaczerpnięta z motywów Chimery. Składał i łamał Michał Wieczorkowski, drukował Aleksander Grzegołowski.